

ISSN 2353-1037
nr 4(37)/2019
Cena 20 zł

wrzesień/październik

projektor

kielecki
magazyn
kulturalny

**KIELECKIE PREZENTACJE
KOMIKSOWE** 06-07 WRZEŚNIA 2019



KIELECKIE PREZENTACJE KOMIKSOWE

PROGRAM

PIĄTEK (06 września 2019)

- 09.00–09.30** Komiks i historia. Problemy popularyzacji
Zbigniew Brzeziński, Szymon Brzeziński
Klub „Kottownia”
- 09.45–10.15** Riverdale/Archie Comics-seria komiksowa i serial TV
Adam Wojewoda
Klub „Kottownia”
- 10.30–11.00** Czy postacie historyczne mogą być bohaterami popkultury?
Sławomir Zajaczkowski
Klub „Kottownia”
- 10.00–12.00** Warsztaty komiksowe dla dzieci i młodzieży z wadami słuchu
Hubert Czajkowski
Galeria „Lakiernia”
- 11.15–11.45** Kim jest Helena Wiktor? (spotkanie autorskie)
Katarzyna Witersheim
Klub „Kottownia”
- 12.00–14.00** Warsztaty komiksowe dla młodzieży (+13) i studentów
Katarzyna Witersheim
Klub „Kottownia” (zapisy u organizatora)
- 14.15–15.00** Niebezpieczne związki filmu i komiksu
Piotr Kletowski
Klub „Kottownia”
- 15.00–16.30** Prezentacje oferty przez wydawców
Timof Comics, Kameleon, Scream Comics, Fabryka Komiksów
(kolejność może ulec zmianie)
Klub „Kottownia”
- 16.00–17.00** Spotkanie na wystawie „Odmienne stany rysunku – kielecki komiks”. Fragmenty książki (czytanie): „Nie tylko Yorgi”
Paweł Chmielewski, Robert Kolasa, Jerzy Ozga
Galeria „Lakiernia”
- 17.45** Losowanie nagrody w konkursie dla odwiedzających KPK
Klub „Kottownia”

SOBOTA (07 września 2019)

- 09.30–10.00** „Krótka podróż w 100-lecie polskiego komiksu”
Sławomir Zajaczkowski
Klub „Kottownia”
- 10.15–10.45** „Star Trek w komiksie”
Adam Wojewoda
Klub „Kottownia”
- 11.00–12.00** Prezentacja oferty przez wydawców
Mandioca, Ultimate Comics (kolejność może ulec zmianie)
Klub „Kottownia”
- 12.00–13.30** Spotkanie z redakcją i twórcami magazynu „Komiks i my”
Marek Baranowski, Robert Konsztat, Mieczysław Skalmowski, Grzegorz Weigt, Krzysztof Wyrzykowski, Sławomir Zajaczkowski
Klub „Kottownia”
- 12.00–13.30** Co u pana słychać kapitanie Gżebyk? (spotkanie autorskie)
Zygmunt „Zeke” Kowal, Jerzy Ozga
Klub „Kottownia”
- 13.45–14.15** „Możesz być kim chcesz” (organizatorzy o wystawie)
Fabryka Komiksu
Galeria „W Przejęciu”
- 13.45–14.15** „Brazylijski komiks w Polsce” (organizatorzy o wystawie)
Mandioca, Timof Comics
Galeria „W Przejęciu”
- 14.30–15.00** Rzeszowska Akademia Komiksu
Wojciech Birek, Jarosław Ejsmont
Klub „Kottownia”
- 15.15–16.00** „Sienkiewicz w obrazkach” (spotkanie autorskie)
Wojciech Birek
Klub „Kottownia”
- 16.00–16.45** „Czy w Polsce potrzebne jest Muzeum Komiksu?”
Wojciech Jama
Klub „Kottownia”
- 17.00–17.45** Live performance „rysowanie komiksów z muzyką na żywo”
Hubert Czajkowski, „Rafcox” Rafał Geborek, Krzysztof Wyrzykowski
Klub „Kottownia”
- 17.45** Losowanie nagrody w konkursie dla odwiedzających KPK
Klub „Kottownia”

AUTOGRAFY

- Magazyn Kulturalny „Projektor”**
Paweł Chmielewski – 06-07 września
Jerzy Ozga – 07 września (13.30-15.00)
Zygmunt „Zeke” Kowal – 07 września (13.30-15.00)
Robert Kolasa – 06 września (14.00-16.00)
Marcin Kot – 06 września (14.00-16.00)
- Wydawnictwo „Komiks i my”**
Krzysztof Wyrzykowski – 06-07 września
Sławomir Zajaczkowski – 06-07 września
Mieczysław Skalmowski – 06-07 września
Grzegorz Weigt – 07 września
Robert Konsztat – 07 września
Marek Baranowski – 07 września
- Wydawnictwo Kameleon**
Robert Zareba – 06-07 września
- Rzeszowska Akademia Komiksu**
Wojciech Birek – 07 września
- „Panna N” – komiksy**
Katarzyna Witersheim – 06 września
- Stoisko autorskie**
Hubert Czajkowski – 06-07 września

WYSTAWY

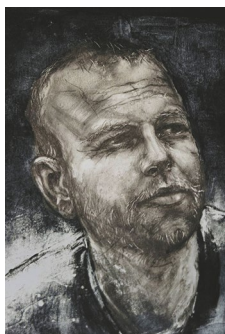
- „Brazylijski komiks w Polsce” (Wyd. Mandioca, Timof Comics)
Galeria „W Przejęciu”
- „Możesz być kim chcesz” (Fabryka Komiksu)
Galeria „W Przejęciu”
- „Komiksy magazynu Projektor – Trzy kolory, Zielony; Kot w butach; Pułapka Gargancjana”
Mała hala
- „Odmienne stany rysunku – kielecki komiks”
Galeria „Lakiernia”

Nowy Jork – miasto Woody’ego Allena, Warhola i komiksowych superbohaterów



Brooklyn Bridge. Fot. Lena Kolasa

(str. 26)



FINAŁ PIĄTEJ serii „Detektywa Murdocha” jest bez dwóch zdań cyberpunkowy, a tytułowy bohater – choć mamy dopiero rok 1899 – całkiem poważnie dyskutuje z doktor Julią Ogden o syndromie superbohatera z punktu widzenia ówczesnej psychiatrii. Nikt jeszcze nie

biega w trykocie, ale obita ćwiekami, stalowa machina czasu, podstępny naukowiec i szalony właściciel prywatnej kliniki poddający się hibernacji, mogą pochodzić z równoległego świata, gdzie kanadyjski policjant na swojej drodze napotka Winsora McCaya, Boba Kane’a lub Stana Lee. I choć w każdej z zagadek kryminalnych, które rozwikłał William Murdoch, zaklęty jest element przypadku i przewrotny trop deus ex machina pod postacią jednego z bohaterów naszej cywilizacji, tym razem – choć byłoby to logiczne – w Toronto brak Herberta George’a Wellsa. To cokolwiek zaskakujące, czwarty posterunek odwiedzili przecież Graham Bell, Arthur Conan Doyle, H.P. Lovecraft i Winston Churchill.

Przypadek w życiu policjanta przybiera czasem zgoła zaskakującą postać. „Endeavour”, czyli serial kryminalny dziesięciolecia brytyjskiej telewizji – radośnie celebrujący detale lub inteligentnie trawestujący „Dolce vita” Felliniego i „Blue velvet” Lyncha – kreuje drugoplanową, lecz jakże ważną postać służbisty

o nieprzeciętnej empatii, superintendenta Reginalda Brighta. W jednym z odcinków, otoczonego przez gangsterów, ratuje gromadka dzieci, które rozpoznały w nim „Pana Pelikana” z edukacyjnej reklamówki londyńskiej policji. Grający Brighta Anton Lesser jest nie do poznania, jako bezwzględny maester Qyburn z „Gry o tron”.

To z jego postacią jest związany jeden z nielicznych, ewidentnie komiksowych motywów sagi George’a R.R. Martina. Tworząc Frankensteina krainy Siedmiu Królestw zbliżył się nie tylko do Robocopa, ale każdej z nieludzkich hybryd uniwersum Marvela. 200 lat po wydaniu powieści Mary Shelley musimy pamiętać, że bez jej wyobraźni i talmudycznych przekazów o golemie, nie byłoby dzisiejszego Hollywood ani całej kultury masowej.

Qyburn, szalony doktor, Joker, Pingwin, Zielony Goblin i cały legion mniej, bądź bardziej wyrafinowanych zbrodniarzy przekonuje nas, że to właśnie zło rodzi ciekawość, tworzy motyw i konstituuje naszą kulturę. Zaludnione tylko, parafrazując Kapuścińskiego – Chrystusami z szablą na ramieniu – karty powieści Sienkiewicza dałyby mu miejsce w spisie przeciętnych nowelistów XIX-wiecznej prasy, a nie noblowski medal.

Byłby równie inspirujący, jak bard muzyki tanecznej, wyśpiewujący „Alleluja” na piaskowej pustyni w centrum wymarłego miasta. ■

Paweł Chmielewski

projektor
kielecki
magazyn
kulturalny

Kielecki magazyn kulturalny

„PROJEKTOR”
dwumiesięcznik

ISSN 2353-1037

WWW.PROJEKTORKIELCE.PL

e-mail: projektorkielce@onet.eu

tel. 605 343 341

Wydawca: **STOWARZYSZENIE TWÓRCZE „ZENIT”**

ul. Zbożowa 4 lok. 12, 25-416 Kielce

WWW.ZENIT.ORG.PL

Redaktor naczelny: **PAWEŁ CHMIELEWSKI**

Okładka: **JERZY OZGA**

Logo: **TOMASZ ŁUKASZCZYK**

Skład, redakcja graficzna: **KRYSTIAN MUCHA**

WSPÓŁPRACA:

Małgorzata Angielska, Mateusz Antczak,
Szymon Brzeziński, Zbigniew Brzeziński,
Anna Katarzyna Dycha, Małgorzata
Kardasińska-Kolasa, Piotr Kletowski,
Lena Kolasa, Mirosław Krzysztofek, Agata
Kulik, Agnieszka Majcher, Olga Mek, Diana
Michalska, Grzegorz Niemiec, Marcin Nowacki,
Agata Orłowska, Emmanuella Robak, Michał
Siedlecki, Katarzyna Sobota

ZDJĘCIA:

Paweł Chmielewski, Małgorzata
Kardasińska-Kolasa, Lena Kolasa,
Emmanuella Robak

RYSUNKI I KOMIKSY:

Piotr Burzyński, Robert Kolasa, Marcin Kot,
Magdalena Łysak, Michał Mazur, Jerzy Ozga,
Klaudiusz Stochmal

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych i zastrzega sobie prawo do redagowania nadestanych tekstów. Odpowiedzialność za treść zamieszczanych reklam ponoszą wyłącznie reklamodawcy.

Spis treści:

TEMAT NUMERU: KIELECKIE PREZENTACJE KOMIKSOWE

3. **Marcin Kot**
„Nie zaglądamy do obcego smartfona!” (komiks)
4. **Zbigniew Brzeziński, Szymon Brzeziński**
Kadrówka, Kielce i opowieści rysunkowe (Jak promować miasta poprzez komiks?)
6. **Magdalena Łysak, Klaudiusz Stochmal**
„Zemsta mechanicznego Turka” (komiks, frag.)
8. **Olga Mek**
Horror art (Skąd się wzięła „Rodzina Addamsów”)
10. **Piotr Burzyński**
„Loviatar” (komiks)
13. **Marcin Nowacki**
Z dziejów Jeruzalem (Zygmunt Similak i Robert Zaręba „Krucjaty”)
13. **Agata Orłowska**
Ptaki amerykańskich lasów (Fabien Grolleau i Jérémie Royer „Audubon. Na skrzydłach świata”)
14. **Paweł Chmielewski**
Co pan robi Hipolicie Wyżerko?! (Komiks prasowy w Kielcach w okresie międzywojennym)
17. **Grzegorz Niemiec**
Salwy śmiechu w Gęsińsku („Kajko i Kokosz. Królewska konna”)
18. **Michał Mazur**
„The Amazing Origin” (komiks)
19. **Komiksowe wiersze** (Agnieszka Majcher, Mateusz Antczak)
20. **Paweł Chmielewski**
Męczy się, męczy nasz biedny wezyr (Goscinyi/Tabary „Przygody wielkiego wezyra Iznoguda”)
20. **Agata Kulik**
Dwa plus trzy – domowe potyczki (Anna Podczaszy „Grymasy”)
21. **Piotr Kletowski**
Śladami najemnika (Hugon Pratt „Corto Maltese”)
21. **Jerzy Ozga**
Pro publico bono (komiks)
22. **Anna Katarzyna Dycha**
Akwarelowa opowieść w klimacie retro (Sebastián Cabot „Listopad”)
22. **Diana Michalska**
1984 – nie tylko Orwell (Box Brown „Tetris”)
23. **Grzegorz Niemiec**
O dwóch takich cangaceiros (Danilo Beyruth „Banda dwóch”)
24. **Paweł Chmielewski**
Dwaj panowie M. (Alan Moore „Promethea”, Marvano „Berlin”)
25. **Piotr Kletowski**
Porządki w świecie Detective Comics („Nieskończony kryzys”)

MIASTA

26. **Małgorzata Kardasińska-Kolasa & Lena Kolasa & Paweł Chmielewski**
Dzielnia dziewczynka nie boi się gieldy! (Batman w Muzeum Komiksu i Nowy Jork – zabytki nietypowe)

MUZYKA

30. **Mirosław Krzysztofek**
Będzie dobrze, pomyślałem. I było! (Off Festival 2019)

OBYCZAJE

33. **Emmanuella Robak**
Mieszkańcy mrocznej mody ∞ goście ciemnych dźwięków (Kultura gothów na Castle Party 2019)

RETRO

- Mirosław Krzysztofek**
36. **Brain Damage** (Prawdopodobnie nigdy tego nie słyszeliście, ale to najlepsza płyta świata)
- Paweł Chmielewski**
36. **Syrena z wysp Grinlandii** (Prawdopodobnie nigdy tego nie czytaliście, ale to najlepsza książka świata)

FILM

- Paweł Chmielewski**
37. **Złamane skrzydło mój anioł ma** (Sylwetka zmarłego reżysera i scenarzysty Radosława Hendla)
- Paweł Chmielewski**
38. **Wieniec z rolek kup mi luby!** (Justyna Jaworska „Piękne widoki, panowie, stąd macie. O kinie polskiego sockonsumpcjonizmu”)

HISTORIA

- Diana Michalska**
39. **Salomon i Iphone** (Paweł Smoleński „Wnuki Jozuego”)
- Diana Michalska**
39. **Nasze małe wspomnienia** („PRL-owskie resentymenty”)
- Paweł Chmielewski**
40. **Po co nam Srebrny Glob?** (Andrew Smith „Księżycowy pył. W poszukiwaniu ludzi, którzy spadli na Ziemię”)
- Agnieszka Majcher**
41. **Wiedźmy na Marsie** (Stacy Schiff „Czarownice. Salem, 1692”)

LITERATURA

- Agnieszka Majcher**
42. **Słowa znaczą więcej?** (Rae Armantrout „Ciemna materia”)
- Katarzyna Sobota**
43. **Wszyscy jesteśmy migrantami** (Mohsin Hamid „Drzwi na Zachód”)
- Małgorzata Angielska**
43. **Zaraza głębokiego snu** (Stephen King, Owen King „Śpiące królowny”)
- Piotr Kletowski**
44. **Żdźbła życia poety** (Walt Whitman „Życie i przygody Jacka Engle’a”)
- Michał Siedlecki**
45. **Żeglowanie po bezmiarach poezji** (Krzysztof Gryko „Tak”)
- Marcin Nowacki**
45. **Ulotność rzeczy i zjawisk** (Michał Siedlecki „Wrzące liście mandragory”)
- Agata Orłowska**
46. **Gdzieś na rubieżach poznania** (Maciej Lorenc „Czy psychodeliki uratują świat?”)
- Agata Orłowska**
46. **Powrót** (Magdalena Piekorz „Nieobecność”)

PLASTYKA

- Emmanuella Robak**
47. **Kobieta o spojrzeniu bazylijska** (Laura Claridge „Tamara Łempicka. Sztuka i skandal”)
- Jerzy Ozga**
48. **Głobtroterzy** (komiks)

RÓŻNOŚCI

49. **Uczestnicy Kieleckich Prezentacji Komiksowych**
49. **Galeria rysunkowa Roberta Kolasy**
49. **Jerzy Ozga „Czarne i białe”** (komiks)

Co pan robi Hipolicie Wyżerko?! Paweł Chmielewski

W latach 1935–36 etatowy rysownik magazynu „Świat Przygód” Jerzy Nowicki (1897–1963) zaadaptował „Tarzana władcę małp” Edgara Rice’a Burroughsa (1875–1950) – znaną polskiemu czytelnikowi nie tylko z książek i filmowej wersji niemej – ale i cyklu komiksowego Harolda Fostera (1892–1982) z 1929 r., drukowanego na łamach łódzkiego tygodnika „Panorama” pięć lat później (numery 6–30). Rodzima wersja „Tarzan, król dżungli” rozgrywała się w Afryce, zawierała epizod ataku czołgów na Święte Miasto, a „król małp” okazał się synem polskiego kolonisty Stasiem Karolkiem Smolkowskim.

CIĄG DALSZY JEGO przygód (rok później) – w Azji – nosił już tytuł „Karol Nieustraszony”. W trakcie – tu historia, cokolwiek przypomina Kino Nowej Przygody z Indianą Jonesem – próby rabunku skarbów przez bandę Czarnego Sępa, pośród bezkresnych pustkowi pogranicza indyjsko-chińskiego, seria nagle się urywa. Jest czerwiec 1937 r., a ostatnią wiadomością, którą otrzymali dzielni podróżnicy jest komunikat: *Województwo kieleckie nawiedziła straszna burza.*

Tu można, parafrazując słynne zdanie, stwierdzić: „Rok 1936, był to dziwny rok”. Niedawno skończył się Wielki Kryzys, który w Polsce trwał prawie dwa lat dłużej, niż w rozwiniętych gospodarkach Stanów Zjednoczonych i Europy Zachodniej. Eugeniusz Kwiatkowski (1888–1974), wicepremier i minister finansów, przedstawił czteroletni plan odbudowy gospodarki i powstania Centralnego Okręgu Przemysłowego. Zapanował entuzjazm. Nie tylko w gospodarce, ale również na rynku prasowym. A prasa, to przecież również komiks.

Mieszkańcy Kielc (a szerzej regionu świętokrzyskiego), wówczas dość sennej i pogrążonej w marazmie kilkudziesięciotysięcznej powiatowej metropolii, toczoney – niestety – rakiem uprzedzeń i antysemityzmu – głównie o podłożu ekonomicznym (zainteresowanych odsyłał do lektury roczników „Gazety Kieleckiej” z epoki), pozbawieni byli nie tylko twórców komiksowych, ale i lokalnych historyjek obrazkowych. Najwybitniejszy twórca, związany rodzinnie z Sandymierszczyzną i zdobywający szlify artystyczne podczas

rezydencji w Kielcach, „ojciec” polskiego komiksu prasowego – Franciszek Kostrzewski zmarł w 1911 r. Jedynym śladem regionalnym w polskim komiksie był, świętujący triumfy Koziołek Matotek Kornela Makuszyńskiego (1884–1953) i Mariana Walentynowicza (1896–1967), który rozstał wśród czytelników świętokrzyski Pacanów, a Kielce pojawiły się w albumie drugim, gdy sympatyczny, acz niezbyt rożgarnięty (a może tylko cokolwiek dandysowały) bohater pomylił pociągi i zamiast do stolicy województwa, trafił do Zakopanego. Tropi miejscowe i kulturowe związane z postacią Koziołka Matotka opisałem zresztą dość dokładnie w numerze 9/2019 magazynu „Komiks i my” (w artykule „Dajcie mi głowę Matotka!”). Summa summarum, kielecki czytelnik komiksów był zmuszony prenumerować prasę łódzką, warszawską, lub śląską, która oferowała kilkanaście cyklicznych „opowieści z dymkiem”. Wszystko zmieniło się na przełomie 1935/36 r.

27 marca 1937 r. to wyjątkowy dzień dla czytelników komiksu w Kielcach. „Kielecki Express Codzienny 10 groszy” (który wyrósł z warszawskich „Ostatnich Wiadomości”) publikuje specjalny, świąteczny odcinek „Przygód Dodka” z rysunkami Jerzego Nowickiego oraz inauguruje dwie serie pasków komiksowych z niespotykanymi w prasie polskiej rozwiązaniami formalnymi – „Tarapaty pana Taty. Ucieszne przygody Walentego Gryplu” według George’a McManusa i „Billa na tropie gangsterów” Charlesa Flandersa.

Wspomniana już „Gazeta Kielecka”, założona w 1870 r., była jednym z pierwszych i najdłużej wychodzących (aż do 1945 r., później reaktywowana na krótko w 1990 r.) periodyków lokalnych. W latach 30., gdy właścicielem tytułu został Władysław Piotrowski, pismo początkowo miało zabarwienie endeckie, później – wraz ze zmniejszającą się liczbą reklamodawców i prenumeratorów – w obawie przed

„aresztem” nałożonym przez władze, stało się organem prorządowym (por. Marian Banaszek, „Gazeta Kielecka” (1870–1945): jej ideowo-polityczne i edytorskie przemiany, „Kwartalnik Historii Prasy Polskiej”, 29/2, 1990). W kwietniu 1935 r. tytuł utracił – prawie na dwa lata – samodzielność i stał się (do maja 1937 r.) częścią „Echa Łódzkiego”. Dla samodzielności gazety, pomimo często grafomańskich artykułów i felietonów, które ukazywały się na jej łamach na początku czwartej dekady, był to zabieg niezbyt szczęśliwy, dla czytelników komiksu z Kielc – „okres złoty”.

Wraz z przejściem pod zarząd „Echa Łódzkiego” w niedzielnym wydaniu „Gazety Kieleckiej” zaczyna pojawiać się regularnie „planszówka” – „Wicek i Wacek na szerokim świecie”, komiks drukowany na łamach łódzkiego dziennika. Nie oznacza to bynajmniej, iż wcześniej w kieleckim periodyku nie były dostępne jakiegokolwiek próby rysunkowe – za skromną realizację, „parakomiksową”, można uznać jednokolorowe graficzki o charakterze satyrycznym, drukowane na stronie reklamowo-literackiej – chociażby zamieszczona w numerze 13 z 13 stycznia 1935 r. scenka „W Chicago” przedstawiająca załężnionego obywatela, któremu jęgomość o posturze E.G. Robinsona z filmu „Mały Cezar” podtyka plaster z prośbą o opatrzenie skaleczonego palca. Te drobnostki rysunki nieznanego autorstwa dość regularnie drukowane były w „GK”, w kontekście czysto reklamowym.

„Wicek i Wacek na szerokim świecie”, komiks publikowany w „Echu Łódzkim” od numeru 106 z 1933 r., aż do wojny, zagościł na łamach „Gazety Kieleckiej” w kwietniu 1935 r., a „wyparował” w maju 1937 r., wraz z ponownym przejściem dziennika przez Władysława Piotrowskiego. Dodajmy – przejściem zakończonym rezygnacją z komiksów, zmniejszeniem objętości, odejściem od siedmiu wydań na rzecz dwóch w tygodniu. To trochę symboliczne i pokazujące jak krótki entuzjazm „epoki Kwiatkowskiego” dość szybko się wypalił. Wicek i Wacek – jak ogromna większość polskich komiksów prasowych okresu międzywojnia – nie był produktem rodzimym, ale adaptacją. Osobnych rozważań wymaga zresztą użycie słowa „adaptacja”. W książce Adama Ruska „Tarzan, Matotek i inni. Cykliczne historyjki obrazkowe w Polsce w latach 1919–1939” (Biblioteka Narodowa, Warszawa 2001) znajdziemy dość czytelną aluzję, iż polscy wydawcy dość swobodnie traktowali zagadnienie licencji i praw autorskich. W każdym razie Wicek i Wacek to nic innego jak „The Katzenjammer Kids” Harolda Knera (1882–1949), pierwotnie – zresztą również po serii procesów o autorstwo – drukowany



„Gazeta Kielecka”, 1935, nr 296.



w latach 1914-1945 na łamach dodatku do „New York Journal”. Polska wersja – to bardzo charakterystyczne – pozbawiona zostaje dymków (w ich miejscu widnieją białe plamy), a tekst komiksowy umieszczony zostaje, w formie dialogów, pod obrazkiem. Ten zabieg (obok dość swobodnie traktowanej kolejności kadrów) stał się znakiem rozpoznawczym przedwojennych polskich komiksów prasowych. W historyjkach Kerra, do wyglądu pierwotnego, nawiązano równoległe z odzyskaniem samodzielności wydawniczej przez „Gazetę Kielecką”, ale już tylko i wyłącznie w periodyku łódzkim.

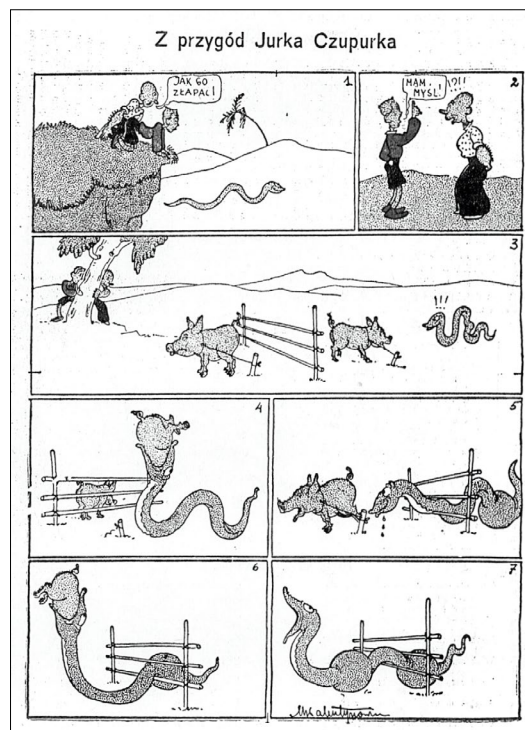
„Wicek i Wacek na szerokim świecie” to cykl cokolwiek surrealistycznych epizodów, kojarzących się z opowieściami o przygodach pary przyjaciół, tak powszechnych w kulturze popularnej międzywojnia. Wystarczy wspomnieć Flipa i Flapa, Pata i Patachona. Oczywiście inspiracją, do której sięgnął Kerr, były postaci Maxa i Moritza, wykreowane w latach 60. XIX w. przez Wilhelma Bauscha. Absurdalny klimat podróży Wicka i Wacka możemy poczuć czytając epizod zamieszczony w numerze 296 „Gazety Kieleckiej” z 27 października 1935 r. Podróżnicy w pojeździe – jakby żywcem przeniesionym z laboratorium komiksowego Papcia Chmiela – pontonie z kółeczkami, podwieszonym do balonu, szybują nad oceanem. Nagle przy pomocy monstrualnego chwybaka łąpią morskiego żółwia, który podwozi ich do stałego lądu. Tam smażą ryby nad kratem – wulkanu, komentując: *Teraz wiem, na co istnieją wulkany...* Jest w tym coś z atmosfery braci Marx.

Rok 1936 nazwał „złotym okresem” dla czytelników komiksu w Kielcach. Obok „Wicka i Wacka...” mogli przy niedzielnym obiedzie zaczytywać się historiami obrazkowymi drukowanymi nie tylko w „Gazecie Kieleckiej”, ale również dzienniku „Dzień dobry!”. To jeden z kilkunastu periodyków wymienionych przez Mieczysława Adamczyka (Polska prasa na Kielecczyźnie w latach 1918-1939, „Kwartalnik Historii Prasy Polskiej” 26/1, 1987) w spisie prasy wydawanej w stolicy województwa. Istniejący w latach 1936-39, jako „Dzień dobry Ziemi Kieleckiej” (wraz z niedzielnym dodatkiem „Moja Gazetka” o podtytułach „Tygodnik dla dlatwy”) był mutacją regionalną popularnego warszawskiego tabloidu (lub, używając nomenklatury przedwojennej prasy „czerwoniaka”, od koloru farby, którą drukowano tytuły sensacyjnych artykułów).

„Dzień dobry!” (tytuł założony w 1930 r.) stało się częścią potężnego koncernu prasowego, założonego w biurówce przy Marszałkowskiej w Warszawie przez właścicieli m.in. „Kurier” i „Expressu”. Nowoczesna drukarnia, ponad stu

dziennikarzy-reporterów i wsparcie rządzącej sanacji zapewniło tytułowi szansę na ogólnopolską ekspansję. Wystarczy wspomnieć, że kosztująca 10 groszy „Gazeta Kielecka” (pismo z tradycjami sięgającymi 1870 r.) przy objętości zaledwie czterech stron w 1937 r. miało ok. 500 stałych czytelników, zaś „Dzień dobry Ziemi Kieleckiej” (czyli regionalna mutacja dziennika) przy kilkunastu stronach w tej samej cenie i rysunowo-nowelistycznym dodatku „Moja Gazetka” (15 groszy w niedzielę) mogła liczyć na tysiąc odbiorców w Kielcach. Mamy zatem odpowiedź skąd wziąć się – poza racjami merytoryczno-politycznymi – upadek ekonomiczny „GK”. Poza wszystkimi innymi przyczynami dziennik „Dzień dobry!”, ukazujący się, aż do 5 września 1939 r. stał się dla czytelnika z Kielc „komiksowym Eldorado”.

Dla najmłodszych czytelników znad Silnicy „Moja Gazetka” oferowała m.in. powieść w odcinkach „Czy słyszycie tam – tam – telegraf afrykański?” autorstwa ikony polskiej awangardy Stefana Themersona (1910-1988) oraz cykle komiksowe Mariana Walentynowicza. Opromieniony sławą rysownika Koziołka Matołka i matki Fiki Miki, tym razem już nie w duecie z Kornelem Makuszyńskim zaproponował „Podróż imię Tchórzaczka”, czyli wyrośniętego królika w marynarskim ubranku z tekstami Tadeusza Pułtowskiego (1876-1935), a od lipca 1935 r., czyli w okresie nas interesującym, z wierszykami Antoniego Bogustawskiego (1889-1956), którego na stronie tytułowej – od numeru 15 z 7 marca 1936 r. zastąpił komiks „O osle kłapouchu” z czterowersowymi rymowanymi Marii Gierdawy w formie podpisów. Już pierwszy odcinek pokazujący ucieczkę z ZOO wskazywał, że będzie to komiks awanturniczy, dynamiczny, komiczny, trochę w stylu „120 przygód Koziołka Matołka”. Bardzo częstym motywem tych pięćdziesięciokadrowych historyjek są wizyty u lekarza lub przyjęcia wydawane przez tytułowego bohatera dla zwierzęcych przyjaciół. Wszystko oczywiście z delikatnym humorem dydaktycznym i w atmosferze nieustannej podróży (kilkanaście epizodów rozgrywa się na statku). Abstrakcyjne poczucie humoru Walentynowicza dało znać w autorskim komiksie – drukowanym na ostatniej stronie „Mojej Gazetki” – „Z przygód Jurka Czupurka”. Rysownik rozpoczął historyjkę we wspomnianym już numerze 15 z 1936 r. od kradzieży zegarka (dokonanej przez srokę złodziejkę) tytułowemu bohaterowi, aby zakończyć ją w numerze 17 roku następnego, wraz z zamknięciem dodatku, który stał się integralną częścią „Dzień dobry!”. Poruszając się w znanych sobie lokacjach, Walentynowicz umieszcza wędrówkę w poszukiwaniu zegarka



„Moja Gazetka”, 1936, nr 332.

m.in. w Afryce, a humor rodem z kabaretu absurdu (szóstka Monthy Pythonów by się nie powstydzila) obserwujemy chociażby w epizodzie o łąpaniu węża (numer 52 z 29 listopada 1936 r.). Dodajmy, że Jurka Czupurka jest wyjątkowy również ze względu na nowatorstwo formalne – rzadkie w komiksie II RP – rezygnację z podpisów na rzecz klasycznych dymków.

Gdy dzieci zaczytywały się w „Mojej Gazetce” ich rodzicom proponowano „Dzień dobry Ziemi Kieleckiej”. Porównanie wersji warszawskiej z mutacją dla Kielc, wskazuje przede wszystkim na przesunięcie akcentów w kierunku sensacji (w mutacjach lokalnych), nawet jeśli dotyczyły informacji politycznych. Niektóre z nich uznawano za sfabrykowane. Według współczesnej nomenklatury „Dzień dobry!” bywało producentem „fake newsów”. Innym elementem odróżniającym poszczególne wersje były nieliczne prawdziwe, ale jednak, wiadomości lokalne. Z nieodłącznym tematem (od końca XIX w. jeszcze na łamach „GK” do dziś) dotyczącym niskiego stanu, przykrego zapachu, zanieczyszczenia, uregulowania Silnicy. Dla czytelników spoza Kielc małe wyjaśnienie – to lokalna rzeczka przepływająca przez miasto.

Odbiorcom starszym „Dzień dobry Ziemi Kieleckiej” proponowano – codziennie – krótkie „shorty” (tak byśmy je dziś nazwali) „Przygody pana Nimbasa”. Autorem tych komiksów bez słów był Andre Daix (1901-1976) – pierwodruk na łamach „Le Journal” w 1934 r., w Polsce od numeru 78/1935. Nimbus, tysawy jęgomość, którego po latach zaciepie przypominają profesor Filutek z „Przekroju”, potrafił wikać



Śladami najemnika

Piotr Kletowski

Są takie serie komiksowe, które stanowią kanon światowej, europejskiej sztuki komiksowej. Z pewnością jedną z nich jest seria autorstwa Hugona Pratta (1927-1995) „Corto Maltese”, której pierwsza część pt. „Ballada o Stonym Morzu”, opublikowana została w 1967 (pierwsze polskie wydanie w 2004, w czerni i bieli nakładem POST-a, wznowienie, w kolorze, w 2017 r., przez Egmont).

KIM JEST CORTO MALTESE? Marynarzem, tawcą przygód, najemnikiem, poszukiwaczem skarbów, zdobywcą kobiecych serc (choć zawsze wiernym tej jednej, jedynej), człowiekiem wiernym swym zasadom – z których najważniejsza jest przyjaźń. Pratt tworząc swą niezwykłą postać – której fizys wzorowana była na młodym Alanie literatury przygodowej: od Aleksandra Dumasa, przez Juliusza Verne’a, E.R. Burroughsa, czy nawet naszego autora – Ferdynanda Ossendowskiego, którego bestsellerowa powieść „W krainie zwierząt, bogów i ludzi”, będąca wielkim hitem wydawniczym przedwojnia, zainspirowała autora komiksowego cyklu do stworzenia tomu „Corto Maltese na Syberii”. Jest więc seria Pratta wspaniałą podróżą do czasów pierwszych lat XX wieku, kiedy w ogniu wojen, rewolucji, mniej lub bardziej krwawych przygód wykuwała się współczesność. Kiedy jeszcze takie wolne duchy jak Corto Maltese mogły śmiało podróżować po świecie dokonując cudów odwagi, wiktając się w mniej lub bardziej historyczne perypetie (niemalże każdy tom przygód Corto związany jest z jakimś ważnym wydarzeniem z historii świata: bolszewicką rewolucją, rozpadem Imperium Osmańskiego, irlandzką wojną o niepodległość, czy powstaniem Republiki Chińskiej 1911 r.), spotykając na swej drodze mniej lub bardziej prawdziwe postaci (do bliskich przyjaciół Corto należy m.in. słynny Grigorij Rasputin). Ale pełna niesamowitych wydarzeń komiksowa obrazoprosza Pratta nie byłaby tak udana, gdyby nie kreska mistrza – realistyczna, a przecież równocześnie bardzo umowna (komiksy tego autora zalicza się właśnie do nurtu komiksu realistycznego). Co ważne, choć włoski mistrz komiksu wie, że kiedy akcja leci na tęb na szyję można pozwolić sobie na większą umowność, niemalże każdy kadr jest tutaj wystudiowanym obrazem, a raz na jakiś czas mamy w komiksach o Corto kadry tak wspaniałe, że można je sobie wykanować, powiększyć i powiesić na ścianie.

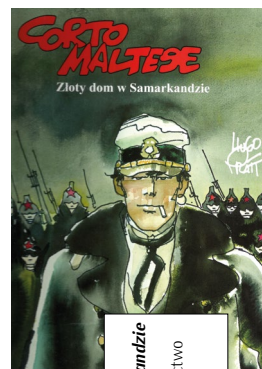
To, co dziś może przeszkadzać niektórym (zwłaszcza młodym) odbiorcom komiksów Pratta jest ich szlachetna patyna, objawiająca się w przywiązaniu do detalu, drobiazgowej informacji historycznej (lub quasi-historycznej) podawanej przez bohaterów. Trzeba bowiem pamiętać, że komiks rezonował w swej historii z językiem kina, który w latach 60. był mniej dynamiczny niż dziś, przedkładając właśnie powolność narracji nad wizualną dynamikę (w dzisiejszych komiksach o Corto, pisanych już po

śmierci Pratta, zdecydowanie zdynamizowano język przekazu, kosztem – niestety – skomplikowania i złożoności intrygi). Suma summarum – coś, co dziś może przeszkadzać w odbiorze, ja osobiście odbieram jako wielki plus misternie skonstruowanych i pięknie narysowanych (namalowanych) komiksów Pratta.

Jednym z najciekawszych komiksów z serii jest wydany przez Egmont zeszyt ósmy „Złoty dom w Samarkandzie”, którego fabuła oscyluje wokół poszukiwania przez Corto legendarnego skarbu Cyrusa, przepionego i w postaci ogromnej, złotej kuli, ukrytego w mrokach dziejów i przepastnych górach Afganistanu przez Aleksandra Wielkiego. W swych poszukiwaniach, które zaczynają się na Malcie, wiodąc przez pół Bliskiego Wschodu, Corto nie tylko bierze udział w krwawych rozgrywkach tureckich panów wojny, tworzących nowe państwo, ale również penetruje twierdzę Assassynów i wika się w przygodę z udziałem walczących z Białymi bolszewików. A wszystko to, by uratować z rąk Turków swego przyjaciela – Rasputina... Co jest sensem i wartością tego i innych zeszytów ukazujących przygody Corto? Przede wszystkim wielka pochwała przygody, odwagi, ale też

cennych wartości, jakie wyznaje odważny Maltańczyk. Wartości staroświeckich, ale przecież wciąż lśniących w ciemności jak skarb Aleksandra Wielkiego.

Czytając ten i kolejne, niezwykle tomy, jakie wyszły spod ręki Hugo Pratta, można mieć tylko nadzieję, że filmowa ekranizacja przygód Corto, przygotowywana od lat przez francuskiego machera od widowiskowego kina przygodowego („Crying Freeman”, „Braterstwo Wilków”) – Christophera Gansa – dorówna komiksowemu pierwowzorowi. Na razie ta superprodukcja, której scenariusz oparto na szóstej, chyba najlepszej opowieści z cyklu „Corto Maltese na Syberii” (gdzie bohater spotyka samego „Szalonego Białego Barona” – von Ungerna – marzącego o restytucji Imperium Czyngis-Chana) boryka się z problemami finansowymi (swoje wkład wycofało jedno z czołowych amerykańskich studiów filmowych zaangażowanych początkowo w produkcję). Miejmy jednak nadzieję, że ten starszy brat Indiany Jonesa dogalopuje w końcu szczęśliwie wprost na duży ekran. ■



Hugo Pratt
Złoty dom w Samarkandzie
141 s. : 30 cm
Warszawa : Wydawnictwo
Egmont Polska, 2018
821.131.1-91

HEROSI KOMIKSU – STRONA 25

PRO PUBLICO BONO.....



Rys. Jerzy Ozga



Grzegorz Niemiec

O dwóch takich cangaceiros

Wreszcie entuzjaści spaghetti westernów mają swój brazylijski komiks w języku polskim. „Banda dwóch” („Bando de Dois”) Danilo Beyrutha to latynoska uczta w iście włoskim stylu wydana nakładem oficyny Timof Comics. Uczta, której pomysłodawcą ceni sobie zabawę. Wystarczy więc puścić wodze fantazji. Co powiecie na małą eksplozję pociągu albo rozkaz *comandante* z zaświatów?

DO DZIEŁA. Skrojona na miarę potrzeb czytelnika intryga jest dziecinnie klarowna. Otóż ciężko rannego bandytę dręczą wizje, w których widzi zjawy zabitych kompanów. Ci oczekują, że Czort zapobiegnie zbezczeszczeniu ich zwłok, ruszając w pogoń za oddziałem pułkownika Honório, który przewozi obcięte głowy rzeźmieszków. Sprawa jest priorytetowa, bowiem Honório chce eksponować je jako trofea w stolicy. Brzmi to nieco absurdalnie – uwolnić obcięte głowy! Ale armie wyrzutków także mają swój kodeks moralny. Czort zyskuje sprzymierzeńca. Czacha podobnie jak on uszedł żywy z pogromu szajki Otónha. Wspólnie planują wysadzić pociąg, i tym sposobem zmusić wojsko do przeprawy przez kolczastą sawannę (katingę), którą tworzą lasy i zarośla drzew suchych obszarów Brazylii, a później przygotować zasadzkę w wiosce Nova Nazaré (autentyczne miasto i gmina w stanie Mato Grosso), ostatnim miejscu, gdzie jest dostępna woda...

Mało skomplikowana treść zyskała ambitną formę, czerpiąc wzorce z kina. Mnóstwo tutaj dwustronicowych panoram, zmiennych ujęć oraz różnorodnych planów, upodobanie do detali: język, dłoń, oko, i pokusa ukazania miejsca zasadzki z ptasiej perspektywy, oraz zgrabne wiązanie ze sobą niemal identycznych kadrów, chociażby w prologu – gdzie postrzelony Czort ledwo ocalał życie, po którym niczym na ekranie czytamy tytuł – „Banda dwóch”.

Lektura komiksu polega na wychwytywaniu różnic pomiędzy ilustracjami. Beyruth stara się zaprojektować odbiorcę na szybsze czytanie ograniczając komentarze narracyjne i oszpeca dialogi bandytów. To potęguje dramaturgię, zaś czarne dymki demaskują zjawy zabitych *cangaceiros*.

Brazylijszyk zadbał także o wrażenia słuchowe czytelnika wprowadzając onomatopoeje – króć, wielkość liter oraz długość wyrazów: SPLISH, CRACK, SSHHHHHH jest uzależniona od natężenia wybuchu bądź strzału.

Komiks jest czarno-biały co podkreśla ekspresjonistyczną proveniencję ilustracji. Użycie całej gamy odcieni pozwala ukazać świat, tłące się ognisko i najczarniejszy mrok za drzwiami kościoła, a więc wszystkie światła i cienie dnia i nocy.

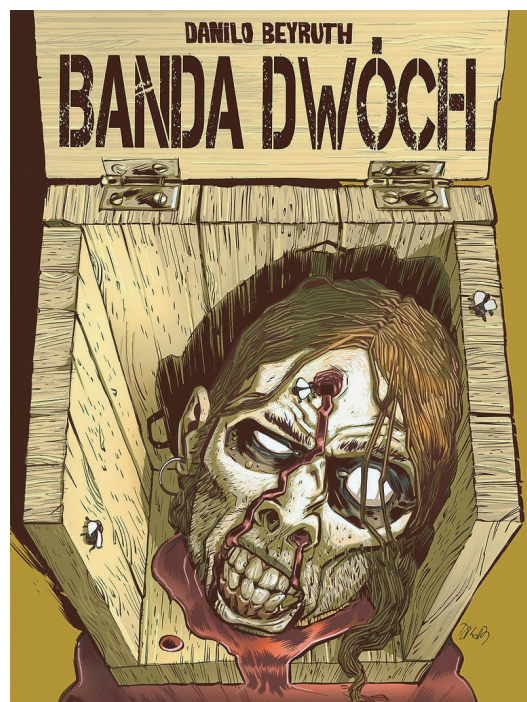
„Banda dwóch” otrzymała wiele prestiżowych nagród m.in. Troféu HQMIX 2011 w trzech kategoriach: Najlepszy rysownik, Najlepszy scenarzysta, Najlepszy komiks brazylijski. Danilo Beyruth (ur. 1973) pochodzi z São Paulo, jest scenarzystą i autorem rysunków do swoich powieści graficznych. Pełne ekspresji kreski wykonuje pędzlem, podobnie jak jego japoński poprzednik Gōseki Kojima, który poruszał w komiksach wątki i problemy znane z filmów Akiry Kurosawy i Masakiego Kobayashiego.

Istotnie kluczem do zrozumienia komiksu może być kino. Beyruth jest spadkobiercą estetyki spaghetti westernu spod znaku Sergio Leone („Dobry, zły i brzydki”, „Pewnego razu na Dzikim Zachodzie”, „Garść dynamitu”) i Sergio Corbucciego („Navajo Joe”, „Człowiek zwany Ciszą”, „Zawodowiec”) oraz piewcą chaosu, bowiem ukazując przemoc – wybuchy, morderstwa, strzelaninę – ją gloryfikuje. Mało tego, wykreowany przez artystę świat zakłada iluzoryczność władzy, mówiąc ogólnie „nieobecność szeryfa”, bądź innej instancji, która zadba o przestrzeganie prawa.

Symbolicznym dochoowaniem wierności spaghetti westernowej poetyce – podważającej mit kolei jako emblematu przemian cywilizacyjnych – jest scena eksplozji pociągu oraz odrzucenie (prze)fetyzowanego colta, a w konsekwencji pojedynków rewolwerowców, które zanikają jako zbyt archaiczne formy zachowań. No może tu i ówdzie pojawia się pistolet, lecz częściej będzie to strzelba, dynamit, szabla i maczeta oraz broń maszynowa podobna do tej, która spoczywa w trumnie „Django” (1966, reż. S. Corbucci).

Oczywiście bardziej miarodajne będzie przyjrzenie się „Bandzie dwóch” w kontekście brazylijskiego Cinema Novo. Czołowym przedstawicielem tego nurtu był Glauber Rocha. Szczególnie istotne są dwa filmy. Być może na ich przykładzie wyjaśnię kim byli *cangaceiros* (bandyci).

Bohaterami alegorycznego „Boga i diabła w krainie stońca” (1964) są czarnoskóry mistyk Sebastião, który sprzeciwiając się Kościołowi, gromadzi grupę oddanych mu zwolenników oraz Corisco czyli Błyskawica, biały diabeł (ciekawie, że ksiądz z Nova Nazaré przyjazd Czorta i Czachy porównuje do przybycia



diabła), nazywający siebie dwugłowym *cangaceiro*, bo jest zabójcą i myślicielem. Corisco opowiada o tym jak odcinał *jedenastcie głów*, będąc na *farmie zdrajcy*, włożył je do torby i wystał na policję z *notatką zapisaną we krwi*, nawiązując do zasadzki na swego dowódcę, nieco później mówi o *dwoch przeciwko tysiącowi żołnierzy*. Corisco to ocalały banita z grupy Virgulina Ferreiry zwanego Lampião (czyli Lampa oliwna), który dowodził bandytami z *Cangaço* i przez wiele lat ukrywał się przed policją. Na skutek zdrady zginął w strzelaninie, a odcięte głowy jego i Marii Bonity stały się publicznymi eksponatami, można było je oglądać przez ponad trzydzieści lat, aż do 1971 roku.

Równie wymowny jest „Antonio das Mortes” (1969, Złota Palma w Cannes za reżyserię). To historia przemian *jagunço* – płatnego mordercy na usługach bogaczy – w *cangaceiro*. Ci w tradycji ludowej traktowani byli jak rewolucyjniści, kiedy indziej nazywano ich rozbójnikami stojącymi po stronie ubogich.

Wydaje się, że właśnie owe filmy zainspirowały Danilo Beyrutha do pracy nad „Bando de Dois”, bowiem są nieocenionym źródłem poznania całego anturazu – ubioru *cangaceiro*, ram czasowych historii, społeczno-obyczajowego kontekstu i ekonomicznych uwarunkowań, które kryją się za niby to banalną historią o lojalności „Bandy dwóch” *cangaceiros*.

Można je odrzucić, szukać psychologicznych przesłanek i dopiero później opowiadać o tym czym jest *vendetta*. Autor zachęca do znalezienia osobistego klucza interpretacyjnego. Tego samego oczekuje „Bando de Dois” – spaghetti western z sosem *churrasco*. ■

Brzmi to nieco absurdalnie – uwolnić obcięte głowy!

Daniilo Beyruth
Banda dwóch
94 s.; 28 cm
Warszawa: Timof Comics –
Timof i Cisi Wspólnicy, 2019
821.134.3(81)-91

Dzielnica „Meat Market” na Dolnym Manhattanie. To tu rozgrywa się akcja „Ojca chłopskiego II” F.F. Coppola. „Ulic nędzy” Martina Scorsese i „Leona zawodowca” Luca Bessona. Chyba wystarczy! Fot. Lena Kolasa



Małgorzata Kardasińska-Kolasa & Lena Kolasa & Paweł Chmielewski Dzielnia dziewczynka nie boi się giełdy!

Romantyzował go poza wszelkie proporcje. Dla niego, niezależnie od pory roku... to ciągle było miasto istniejące w czerni i bieli... i tętniące w rytm wspaniałych dźwięków George'a Gershвина. Tak się zaczyna – albo inaczej – tak brzmi jedna z pierwszych kwestii „Manhattanu” Woody'ego Allena. Jeśli nas pamięć nie myli i nie zawodzi zmysły, pierwszy kadr to widok wiszącego mostu nad East River, łączącego Dolny Manhattan z Brooklynem.

„MANHATTAN BRIDGE” o długości 2089 m zaprojektował... Rudolf Modrzejewski, syn wielkiej aktorki Heleny. Chcielibyśmy! No, nie – Modrzejewski był tylko zastępcą głównego inżyniera – Othniela Fostera Nicholasa, który zastąpił na tym stanowisku pomysłodawcę i projektanta mostu – Gustava Lindenthala. Budowę rozpoczęto w październiku 1901 r., a oficjalne połączenie nad East River otwarto w Sylwestra 1909 r. Podobno codziennie przekracza most ponad 70 tys. samochodów. Na zdjęciu nie widzimy jednak „Manhattan Bridge”, który ukrył się trochę z tytułu, ale starszy od niego Brooklyn Bridge (1883 metry), zbudowany w latach 1869-1883, według projektu niemieckiego inżyniera Johna A. Roeblinga. Nazywany „ulubionym mostem samobójców”, ale i miejscem, gdzie spopularyzowano tradycję wieszania tzw. „kłódek miłosnych”, jako dowodu dozgonnych uczuć. Wpisany na światową listę dziedzictwa UNESCO, przez architekta Lewisa Mumforda został uznany raczej za dzieło sztuki, niż inżynierski majstersztyk, z kolei przerażał Henry'ego



The Battery. Fot. Małgorzata Kardasińska-Kolasa

Jamesa, jako wytwór epoki, w której maszyna zapanuje nad duszą. Przy okazji – zawieszenie „miłosnej kłódki” – grozi mandatem w wysokości 100 dolarów.

Tu, gdzie dziś jest park i spacerują mieszkańcy Manhattanu, od 1855 r. (przez ponad 30 lat) istniał, ogrodzony kilkun-

stometrowym płotem, punkt przyjęcia emigrantów. Wśród ponad milionów biedaków znaleźli się m.in. Nikola Tesla, Harry Houdini, Emma Goldman i Joseph Pulitzer. W czasach przedkolonialnych rósł tutaj las, który był miejscem polowań dla Indian z plemion Lenape i Munsee (z ludu Algonkinów), którzy wydeptali (w właściwie wykuli w wapieniu) tzw. „szeroką drogę”, dziś będącą początkiem alei Broadway. Broadway – najstarsza i najważniejsza ulica Nowego Jorku. Od State Street do Bronxu. Jej początek to dawna osada Nowy Amsterdam, zaś nazwa to anglojęzyczne, dosłowne tłumaczenie niderlandzkich słów „Brede weg”. Dziś przede wszystkim ulica teatrów komercyjnych i offowych, która stała się metonimem życia teatralnego.

Prawdopodobnie w miejscu, gdzie dziś stoi licencjonowany kiosk z kuchnią orientálną, w 1628 r. toczyły się rozmowy Holenderskiej Kompanii Zachodnioindyjskiej z rdzennymi mieszkańcami o zakup Manhattanu („użyczenie”, jak rozumieli to przedstawiciele plemion) za 60 guldénów. W 1664 r. Brytyjczycy zajmują wyspę, burząc Fort (New) Amsterdam, wznosząc na

jego miejscu Fort George. Podczas wojny o niepodległość fort zostaje spalony, kilkadziesiąt metrów dalej odczytano publicznie Deklarację Niepodległości, a miejsce przekształcono w pierwszy publiczny deptak (jeszcze nie park). Na nabrzeżu i wyspce potocznej z łądem powstaje



Times Square – najwięcej neonów, najstojniejsze powitanie Nowego Roku oraz mroczna sceneria dla filmów „Taksówkarz” i „Nocny kowboj”. Fot. Małgorzata Kardasińska-Kolasa

„Charging Bull”. Fot. Małgorzata Kardasińska-Kolasa



Krajowego Rejestru Miejsc Historycznych. W 1986 r. powstaje plan ponownego przekształcenia Battery Park (obecnie „The Battery”) właśnie w park publiczny. W 2004 r. dzięki protestom mieszkańców uniemożliwiono budowę stacji metra na tym terenie. Po gruntownej rewitalizacji, odnowieniu promenady, powstaje tu m.in. czterohektarowy gaj hiszpański, eksperymentalna „farma miejska” dla studentów, miejsce odwiedzane przez nowojorczyków i miliony turystów rocznie, z pięknym widokiem na drapacze chmur Manhattanu.

Nowy Jork, jak każde szanujące się miasto musi mieć swój symbol. Statua Wolności? Być może..., ale nieoficjalnym jest rzeźba „Szarżującego byka” („Charging

sprzeciw kobiet wobec sytuacji na rynku pracy – zwłaszcza w dzielnicy finansowej, gdzie prawie trzydzieści procent korporacji w ogóle ich nie zatrudnia, a kobieta-makler to nadal rzadkość. Prawnicy de Modicy wytoczyli Visbal proces, żądając usunięcia „dziewczynki”. Po ponad roku i salomonowym wyroku – „Nieustraszona dziewczynka” usunęła się z drogi „Szarżującego byka” i stanęła trochę dalej, niedaleko wejścia na Wall Street.

Zatrzymajmy się na Broadwayu 209-211 – bardzo ciekawa lokalizacja – tzw. „Kanyon Bohaterów” („Canyon of Heroes”). Leży wprawdzie w dzielnicy finansowej, ale bohaterowie bynajmniej nie są korporacyjni. Tradycyjnie organizowano tu uliczne tzw. „parady z taśmami”. Nazwa pochodzi od rzadko wydawanych zezwoleń, aby na głowy maszerujących można było z okien biurowców rzucać pocięte skrawki papieru (dawniej klejącej taśmy pakowej, dziś konfetti). Kilkadziesiąt tysięcy pracowników korporacji, podczas parady z okazji zakończenia II wojny światowej (14-15 sierpnia) zrzuciło 5438 ton papieru. Po „wielkim sprzątnię” Departament Sanitarny Nowego Jorku zakazał na jakiś czas parad. Druga – największa w historii – została zorganizowana na cześć amerykańskich

„Kanyon bohaterów”. Fot. Lena Kolasa



kolejny fort (zamek) Clinton, po wojnie 1812 r. oddany przez władze federalne mieszkańcom Nowego Jorku, a na jego terenie, po raz pierwszy zademonstrowano lot balonem na ogrzane powietrze w USA, telegraf Morse’a, samojezdny parowóz i pierwsze podwodne materiały wybuchowe Samuela Colta, występował tu również cyrk Barnuma (to ten pan z musicalu z Hugh Jackmanem). W 1896 r. w miejscu nazywanym Castle Garden otwarto publiczny park akwariowy ze zbiornikami na 300 tys. galonów

Bull”). Naprzeciw byka stała – znacznie mniejsza, „Nieustraszona dziewczynka”. Stała do niedawna. Od jakiegoś czasu przeskoczyła parę „kroków” w bok ;). Jak to było? Nie znie, to poczytajcie. Szarżujący byk stanął nielegalnie. Przywiózł go, do samego centrum dzielnicy finansowej (w nocy 15 grudnia 1989 r.) włoski rzeźbiarz Arturo di Modicy. Po paru godzinach rzeźbę „zaaresztowano” i doturlano na Queens. Władze miasta nie bardzo wiedziały co zrobić – artysta tłumaczył się, że był to performance, a on jako św. Mikołaj podarował nowojorczykom symbol „finansowej hossy”, przed świętami, zaś mieszkańcy byli zachwyceni rzeźbą. Ostatecznie i tymczasowo (jak się potem okazało na stałe) „Szarżującego byka” ustawiono w Bowling Green Park, niedaleko Wall Street. Bardzo szybko rozeszła się legenda, że dotknięcie rzeźby, a zwłaszcza jej „dyskretnych” miejsc zapewnia sukces w giełdowych operacjach. Stąd nieustanne kolejki wokół dzieła di Modicy. 7 marca 2017 r. kilka metrów od byka – Kristen Visbal – przyśrubowała wspomnianą wcześniej „Nieustraszoną dziewczynkę”. Miała ona symbolizować

Nowy Jork to przecież komiksowe Gotham.

wody i egzotycznymi rybami z całego świata. Tutaj w 1927 r. rozpoczyna się triumfalny pochód ku czci Charlesa Lindberga, po jego samotnym locie przez Atlantyk. W 1966 r. – zagrożone wyburzeniem tereny wokół dawnego zamku i amfiteatru zostają wpisane do



Rezydencja Johna Watsona. Fot. Małgorzata Kardasińska-Kolasa



astronautów: Johna Glenna i Alana Sheparda (wbrew pozorom nie ma medialnego Neila Armstronga). Ostatnio „Parady z taśmami” maszerują przede wszystkim ku czci sportowców. Dwie największe (z 10 lipca) przygotowano z okazji zdobycia mistrzostwa świata w piłce nożnej przez drużyny kobiece (2015 i 2019). Wzdłuż chodników „Kaniou Bohaterów” osadzone są czarne, granitowe wstawki (ponad 200) upamiętniające kolejnych bohaterów pochodzących.

Teraz mała architektoniczna ciekawostka z Nowego Jorku. Na południowym skraju wyspy Manhattan – wśród olbrzymich drapaczy chmur centrum finansowego – stoi niepozorny budynek, odbiegający wyraźnie stylem od całego otoczenia. To dawna rezydencja Jamesa Watsona, przy króciutkiej ulicy State. Dom wzniesiony w 1793 r. a rozbudowany

w 1806 r. należał do pierwszego marszałka Zgromadzenia Stanu Nowy Jork i senatora federacji Stanów Zjednoczonych. Watson ukończył prawo i filozofię na Uniwersytecie Yale, ale zajął się handlem. Pod koniec XVIII stulecia obok jego rezydencji stał cały szereg domów zamożnych rodzin kupieckich. Parcele były bardzo cenione z prozaicznego powodu – bliskości rzeki i widoku na port, gdzie przybiły żaglowce floty handlowej. W 1806 r. Watson – bogaty i zmęczony handlem – sprzedał dom Mojżeszowi Rogersowi, który potoczył go z sąsiednią rezydencją, podobno używając do tego masztów z własnych statków. Kilkanaście lat później okolica przestała być atrakcyjna dla zamożnych kupców i przemysłowców, a posiadłość przejęło biuro linii Ithaca (z południa). Podczas wojny secesyjnej dom zarekwirowano. Później stał się siedzibą komisarsza nadzorującego port. W 1879 r. w Irlandii wybuchła „zaraza ziemniaczana”, ponad milion osób zmarło z głodu, a emigracja do USA przybrała niespotykaną skalę. Co najciekawsze większość spośród emigrantów stanowiły kobiety, głównie niezamężne i nieletnie. W 1882 r. Charlotte Grace O'Brien, przeżrana losem młodych dziewcząt otworzyła w domu Watsona rodzaj schroniska dla młodych kobiet. Dość szybko okazało się, że prawie wszystkie dziewczęta to analfabетки, a oferty pracy przysyłane Grace O'Brien są w większości fałszywe i pochodzą od rekruterów mafii i właścicieli domów publicznych. Gdy rozpoczęto wyburzenia sąsiednich rezydencji, właścicielka odstąpiła posiadłość katolickiej parafii, która utworzyła tam irlandzki dom katolicki dla młodych emigrantek. Bardzo charakterystyczny budynek – jedyny w całej okolicy – został w 1972 r. objęty ochroną, jako zabytkowe dziedzictwo miasta Nowy Jork.

Teraz pozornie zwyczajna uliczka – McDonalds i Popeyes z kuchnią z Luizjany. Później – na sąsiednim budynku – dziś wyremontowanym, jak twierdzą miejscowi, po raz pierwszy pojawił się napis „SAMO”. To sygnatura, którą podpisywał swoje obrazy Jean-Michel Basquiat (1960-1988). Najstojniejszy z artystów nowojorskiego street artu i prekursor graffiti, malował na ścianach budynków Manhattanu i w wagonach oraz

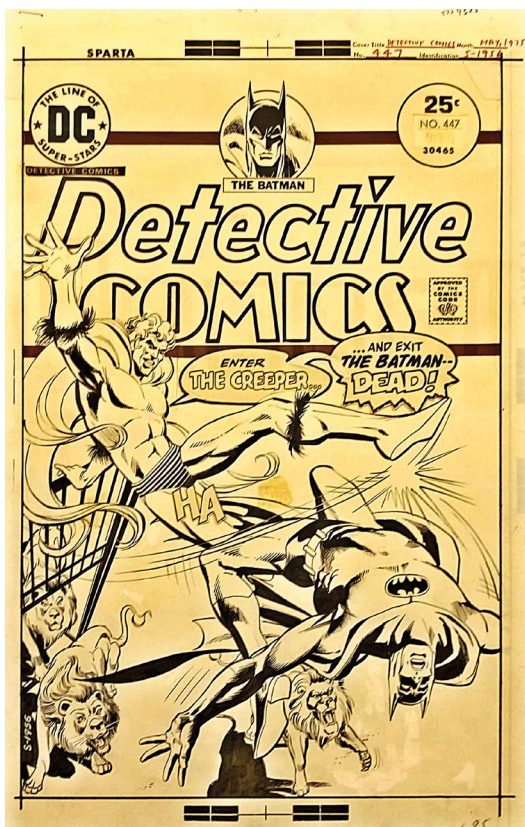
na stacjach linii D (jadącej na Brooklyn). Podobno niektóre z jego rysów nadal tam można odnaleźć. Przesiadując często w barze Popeyes, sprzedając ręcznie malowane pocztówki i koszulki stawiał się artystą coraz bardziej znanym i docenianym. Krytycy ochrzczili go mianem twórcy nowego ekspresjonizmu. W tym okresie zakończył projekt „Samo” (Same Old Shit) publikując napis „Samo is dead” na murach SoHo. Od 1982 r. zaczął regularnie wystawiać prace i czytać poezję w nowojorskich galeriach, zaś rok później poznał Andy'ego Warhola, z którym wspólnie namalował ponad sto obrazów. Jeszcze w 1979 r. założył zespół Grey, kapelę nurtu noise, w której występował m.in. z aktorem Vincentem Gallo, pojawiał się w teledyskach. Zmarł z przedawkowania heroiny. Ciekawostką



Jeffrey Verge „Of Gods and Heroes”. Fot. Lena Kolasa

muzyczną z życia Basquiata jest fakt, że w filmie biograficznym Juliana Schnabla „Basquiat – taniec ze śmiercią” (scenariusz Lech Majewski) postać Warhola zagrał Dawid Bowie, z którym malarz za życia współpracował przy jednym z muzycznych przedsięwzięć.

W jednym z nowojorskich muzeów (Smithsonian's National Museum of the American Indian) otwarto niedawno wystawę bardzo aktualną, wręcz blockbustową – „Of Gods and Heroes” Jeffrey Verge. Muzeum mieści się w neoklasyzystycznym budynku Alexander Hamilton U.S. Custom House (dolny Manhattan) z 1907 r., zajmując jego dwie kondygnacje o ponad 2 tys. metrów kwadratowych powierzchni wystawienniczej. Projektantem budynku był Cass Gilbert, jeden z najważniejszych amerykańskich architektów przełomu wieków, twórca pierwszych nowojorskich drapaczy chmur, m.in. Woolworth Building na Broadwayu.



Wróćmy jednak do JV – artysta pochodzi z ludów Suquamish i Duwamish, a dzieciństwo spędził w jednym z rezerwatów dla rdzennych mieszkańców USA. Tam przygotował kilkadziesiąt prac inspirowanych serią „Gwiezdne wojny” i komiksami DC Comics oraz Marvela. Tak nietypowo stworzone portfolio pozwoliło mu zostać wolnym słuchaczem i uzyskać dyplom z wzornictwa przemysłowego w Art Institute of Seattle. Paradoksalnie dopiero po studiach zaczął odkrywać i eksplorować sztukę narodów indiańskich, w tym m.in. ludów Alaski. Dość szybko wypracował własny, niepodrabialny styl, który pozwolił mu najpierw na pracę przy kolejnych albumach z cyklu sędziego Dredda, potem zlecenia studia Marvel przy seriach „X-Men”, „Kapitan America”, „Strażnicy Galaktyki”

Rysunek Jima Lee (2008). Fot. Małgorzata Kardosińska-Kolasa



i inne. W 2015 r. otrzymał zadanie „reanimacji” postaci „Red Wolf” i uczestniczył (to trochę jak wstąpienie na komiksowy Olimp) w pracach nad ekranizacją Disneya/Marvela „Avengers. Czas Ultrona”. Podobno otrzymał to zlecenie dzięki fascynacji Roberta Downeya Jr. stworzoną przez siebie wersją postaci Iron Mana. Krytyków sztuki komiksu zainteresowało w pracach Veregge dość swobodne wprowadzenie w obręb kanonu komiksowego elementów etnicznych i multikulturowych. W niektórych grafikach są to odwołania do ikonografii Inuitów, Indian Krainy Wielkich Jezior, w innych sztuki islamu, zaś „Of Gods and Heroes” będzie czynna do 16 października.

Niektóre z postaci literackich – Sherlock Holmes, Frankenstein, Dracula, Achilles, Hamlet, Dorian Gray, Józef K. – weszły na stałe do kanonu kultury. Ulegają wciąż metamorfozom, parodiom, są przedmiotem nieustannych aluzji. Same będąc alegoriami i przetworzeniami innych

postaci – najczęściej mitycznych. Jedną z takich figur jest Batman. Na 80 urodziny „Człowieka-nietoperza”, nowojorskie Muzeum of Comic and Cartoon Art (MoCCA) zorganizowało potężną wystawę poświęconą tylko i wyłącznie tej postaci popkultury. Na paradoks zakrawa, że Nowy Jork to przecież komiksowe Gotham, a jako pierwszy użył tej nazwy w swym słynnym eseju Washington Irving, jeszcze w 1807 r. Założone w 2001 r. MoCCA, omal nie upadło jedenaście lat później. Jak zwykle poszło o pieniądze. W 2012 r. zbiory i siedzibę muzeum przeniesiono do budynku Towarzystwa Ilustratorów, szacownej organizacji, istniejącej od 1903 r., która w 1958 r., stworzyła Galerię Sław (Hall of Fame) dla ilustratorów, zaczynając od autora okładek dla „The Saturday Evening Post” – Normana Rockwella. Po wystawach Stana Lee, Willa Eisnera całą przestrzeń MoCCA opanowały cztery wystawy poświęcone mrocznemu wcieleniu Bruce’a Wayne’a – Batman w czerni i bieli, osiemdziesiąt lat nietoperza w popkulturze, ilustracje do komiksów o Batmanie i wreszcie Bat-Manga. Zaczynamy od kanonicznych ilustracji Boba Kane’a z „Detective Comics” nr 27 (1939), na których po raz pierwszy pojawił się człowiek-nietoperz.

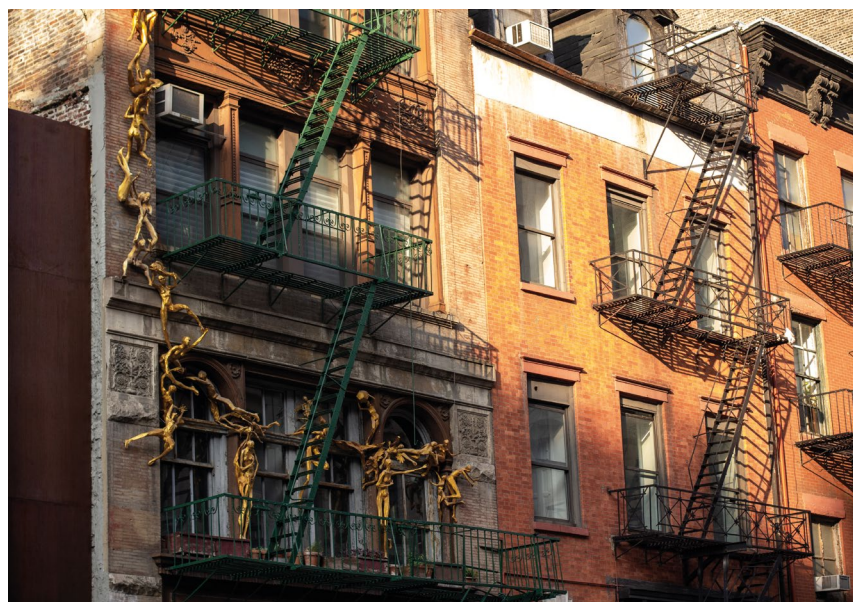
Mamy zatem klasyczne, pierwsze okładki magazynów ze „złotej ery komiksu” (dziś warty nawet setki tysięcy dolarów), zestawione z czarno-białymi oryginalnymi planszami drukarskimi. Ten zabieg powtarzany jest zresztą na całej ekspozycji (choćby przy rysunkach Joe Giella), gdy możemy obserwować – trochę jakby zza kulis – jakie notatki na marginesach kreśliли redaktorzy artystyczni wydawnictwa. Zwiedzając wystawy możemy zaobserwować ewolucję wizerunku (chyba najstawniejszego) superbohatera, ale również ewolucję techniczną kreślenia postaci – od



Rysunki Boba Kane’a. Fot. Lena Kolasa

najwcześniejszych dzieł do grafik Bruca Timma, Charlesa Burnsa i odpowiedzialnego za „odrodzenie” Jima Lee. Nie na samych ilustracjach komiksowych skupili się jednak autorzy wystawy – wizerunek Batmana w japońskiej transpozycji (mangowej) stanowi sprawę osobną, ale zobaczyć możemy również portrety wszystkich „odpowiedzialnych” za osiem dekad obecności tej ikony kultury w globalnej świadomości, plakaty i fotosy związane z serialem z 1954 r., niezliczone covery i wariacje na temat postaci wykonane przez współczesnych rysowników, a jako ciekawostkę – plakat z Batmanem i Robinem z 1966 r. reklamujący produkty spożywcze i zestaw kart kolekcjonerskich z postaciami z komiksu.

To teraz – sięgniemy po „Buszującego w zbożu”, czy raczej włączymy „Błękitną rapsodię”? ■



Fasada kamienicy przy 24 Bond Street. Złote postaci tancerzy to dzieło rzeźbiarza Bruce’a Williamsa, zatytułowane „Dreams of Hyperion” i tworzone od ponad dwudziestu lat. W tym samym budynku mieszkał od 1970 r. do śmierci fotografik Robert Mapplethorpe i to tu nakręcił film „Still Moving” z Patti Smith. Fot. Lena Kolasa

Mirosław Krzysztofek

Będzie dobrze, pomyślałem. I było!

Moja przygoda z OFF Festivalem trwa już kilkanaście lat. Były różne edycje. Mniej lub bardziej udane, ale zawsze chętnie wracam do Doliny Trzech Stawów. Bo to najważniejszy festiwal w Polsce i na pewno jeden z najważniejszych w Europie.



The Body

ROK TEMU PISAŁEM, że po zakończeniu wracałem do domu nieco rozczarowany. Organizatorzy za bardzo wzięli sobie do serca rzekomą śmierć mocnej, odważnej muzyki z okolic ciężkiego rocka czy muzyki eksperymentalnej i postawili na lżejsze odmiany alternatywnych brzmień. Co w niektórych przypadkach oznaczało po prostu nieco ambitniejszą muzykę pop, dość banalną elektronikę lub mało odkrywczy indie rock. I nie chodzi tylko o samą muzykę, ale też o proporcje zawartości festiwalowego programu.

W tym roku program OFF Festiwalu i poziom wykonawców, ich dobór, okazał się strzałem w dziesiątkę. Było bardziej niż miło! O czym poniżej.

DZIEŃ PIERWSZY. TO ZAWSZE JEST PIĄTEK. JAK KTOŚ NIE WIE.

Po ponad dwugodzinnej podróży, niestety jeszcze nie wskrzeszonym, innowacyjnym PKS-em elektrycznym, ale tradycyjnie siermiężną koleją, wyładowaliśmy z redaktorem Pawłem Chmielewskim (który tym razem, jako fotoreporter skończył tylko z jednym guzem i siniakiem na goleni wielkości talerza, nabitym przez innych fotoreporterów) w legendarnych Siemianowicach, gdzie można za darmo podziwiać klimaty wzięte z PRL-u, przeplatane wszechobecną tandetą rodem ze współ-

czesnego polskiego quasi kapitalizmu. Hotele mają tanie. Skomunikowane z Katowicami i aglomeracją śląską nieźle. Restauracje i bary hotelowe są zamknięte w weekendy. Stąd między innymi bierze się legendarność i nietuzinkowość tego miasteczka. I ten widok z hotelowego okna na teren zakładów (cicho sza!) zbrojeniowych i stojące tam jeszcze nieuzbrojone, ale jakże zabójczo groźne dla naszych wrogów „Rosomaki”! Hotel ma czyste łazienki, pościel i toalety. Dają nieużywane mydło i także ręczniki. Na powitanie nie było czekoladek w kształcie Rosomaka, ale co tam! Szybka dezynfekcja po dwugodzinnym kontakcie z naszymi, ale jednak groźnymi bakteriami w wagonach PKP i ruszamy z grupą przyjaciół różnej płci do Katowic na OFF-a!

Pierwszym zaskoczeniem wcale nie była muzyka, tylko olbrzymia, kolorowa i różnorodna kolejka po odbiór opasek uprawniających do uczestnictwa w OFF Festiwalu. Najdłuższa, jaką widziałem. Będzie dobrze, pomyślałem. I było.

Po bardzo wnikliwej kontroli – przypuszczalnie z uwagi na możliwość przemytu tłustego mięsa z GMO na teren Offa przekroczyliśmy wysłuzoną, pokrytą g dzieńiedzie rdzą bramę festiwalu. Czas na planowanie i pierwszy koncert.

THE BODY

Scena Eksperymentalna, na której odbywał się koncert The Body, zawsze mnie na Offie czymś zaskakiwała. Tu odkryłem i zakochałem się m.in. w zespole Thee Oh Sees i Richardzie Dawsonie. Czy tym razem też tak było? Niestety nie. Chociaż lubię ten rodzaj grania, akurat to ciało mnie nie przekonało. Muzyka przeszła gdzieś obok. Ściana dźwięku już nie wystarcza, by wzbudzić u mnie emocje. Byłem obok tego, co działo się na scenie i mam wrażenie, że zespół i część publiczności

także. Przeczytałem gdzieś, że występ The Body był wydarzeniem. Może. Nie dla mnie. Raczej rozczarowaniem.

W skali od jednego do trzech stawów: pół

THE COMET IS COMING

Nie można oglądać wszystkiego, więc odpuszczam sobie wykonawców, za którymi nie przepadam. Lub których występ już widziałem. Poza tym „głodny nie jestem sobą”. Kometa nadleciała, przynajmniej dla mnie i od pierwszych dźwięków zabrała słuchaczy w galaktyczną podróż. W świat jazzu, techno i muzyki eksperymentalnej. Nils Petter Molvaer on speed, trochę kosmosu Sun Ra, chwilami klimat Orbital z najlepszych płyt. Przede wszystkim godzina kapitalnej muzyki. Porywającej publiczność. Zagranej z duszą, szczerością i na bardzo wysokim poziomie. Brzmienie przyszłości osadzone w najlepszej jazzowej tradycji. Prawdziwe wysokie loty. Co prawda nie za darmo, ale za to brytyjską kometa.

Trzy stawy

DURAND JONES & THE INDICATIONS

Amerikanie z Indiany. Zespół założony przez grupę przyjaciół z uniwersytetu. Idealna muzyka do odpoczynku po locie z The Comet is Coming. Stara szkoła wytwórni Tamla Motown. Soul, R&B, funk i trochę jazzu. Doskonałe brzmienie. Uczta. Oczywiście, jeśli lubicie klimaty późnego Marvin’a Gaye’a, Curtisa Meyfielda i czarne kino lat siedemdziesiątych. Muzyka w sam raz na romantyczny wieczór, ale Durand Jones potrafi zaskoczyć funkowym brzmieniem znanym z najlepszych nagrań Jamesa



Jarvis Cocker (zespół)

Fot. Paweł Chmielewski

Browna. Politycznie i społecznie zaangażowane teksty. Najwyższy poziom i chyba najlepszy popowy koncert na tegorocznym Off Festivalu. To powinna być Scena Leśna późnym wieczorem. I zapalniczki. Na pewno nie smartfony. Nie można mieć wszystkiego, ale na tym koncercie dostaliśmy prawie wszystko. Oprócz darmowych wegańskich parówek.

Zasłużone trzy stawy

OM

Jeśli wierzyć Wikipedii, to OM gra heavy metal. Nieprawda. Korzenie ich muzyki wywodzą się częściowo z ciężkiego brzmienia Black Sabbath. Z najlepszego okresu. Jednak muzyka OM to nie heavy metal. Natchniona, chwilami ocierająca o się o mistykę jest trudna do zaszkladkowania. Równie dobrze można napisać, że Dead Can Dance grają pop. To, co gra lider grupy na basie, strukturą przypomina tybetańskie mantry. Mini-

Dezserter



publiczność z poczuciem, że mogliby tak grać jeszcze ze trzy godziny. Scena Leśna rządzi w pierwszym dniu Offa.

Dwa razy po trzy stawy

JARVIS COCKER

Koncert, w którego czasie odniosłem wrażenie, że po blisko 40 latach obecności na muzycznej scenie Jarvis ciągle szuka swojej drogi na scenie pop. Lider nieistniejącego Pulp, jednej z ikon britpopu, dał poprawny występ, w którym odegrał główną rolę. Tak miało być. Rola reszty zespołu ograniczona została do miłego, ale nic niewnoszącego tła. Charakterzama Cockera istnieje, ale nie porywa. David Bowie robił to lepiej i miał lepszych muzyków. Ale to był David Bowie.

Jeden i pół stawu w skali od 1 do 3

DZIEŃ DRUGI. BĘDZIE PADAĆ W SOBOTĘ? I CZY MY PADNIEMY?

Kolejki przy wejściu na teren doliny Trzech Stawów nieco denerwująca, ale emocje na bramce (odbiorą, czy nie odbiorą niezdrową kanapkę ze schabowym?) rekompensują czekanie.

Z tych emocji nie zdążyłem na EABS, a podobno się działo. O czym wiem z relacji naocznego świadka, uczestnika naszej kulturalnej wycieczki po scenach OFF Festivalu.

DEZERTER GRA „UNDERGROUND OUT OF POLAND”

Koncert, który udowodnił, że można się wzruszyć przy polskim starym polskim punk rocku.

Zadziwiające aktualne teksty z pierwszej płyty zespołu – ikony polskiego punka

i nie tylko. Jeden z najlepszych koncertów Dezsertera, jakie widziałem. Wzruszający, łąjący za serce, dobrze zagrany. Nawet w świetle zachodzącego powoli słońca Dezserter porwał publiczność. Od pierwszego do ostatniego utworu. Mimo upływu lat muzyka Dezsertera broni się szczerością i prostotą przekazu. Duże brawa.

Trzy stawy i trochę też w kącikach oczu

SUPERORGANIZM

Muzyka lekka, łatwa i przyjemna nie musi być płytka. Banał, ale w przypadku Superorganizmu prawdziwy. Ośiem osób na scenie, bawiących się konwencjami popu. Międzynarodowy skład. Dobra zabawa. Tęczo. Wesole. Czasami refleksyjnie. Można chcieć więcej, ale po co?

Oddech po szybkim i zaangażowanym w polskie sprawy Dezserterze. Frankie Goes To Hollywood naszych czasów? Trochę. Po prostu Superorganizm.

Dwa pełne stawy

W poszukiwaniu mięsa (legalnego oczywiście) straciłem koncert Kapeli Maliszów, ale potrzeba uzupełniania płynów i energii jest czasami nie do przezwyciężenia. To jakiś natóg chyba.

Najedzony, płynny jakies tam też wprowadzone. Czas na:

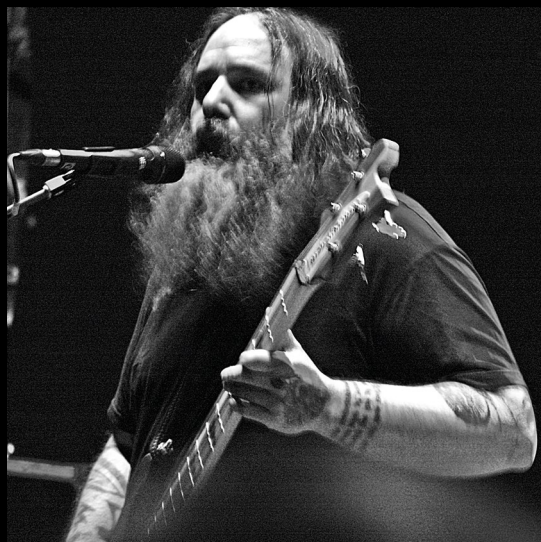
ELECTRIC WIZARD

Druga po OM formacja występująca na Offie, którą krytycy kwalifikują jako spadkobierców Black Sabbath. I tym razem jest to bliższe prawdy. Psychodeliczny sludge metal grany przez tę brytyjską formację poparty grzmiącymi gitarowymi riffami ciągle robi wrażenie. Po 26 latach istnienia grupy. Szmata czasu. Electric Wizard zagrali świetny koncert. Potężne brzmienie, porównywalne do OM. Z przyjemnością przyjąłem tę końską dawkę mocnej, wciągającej muzyki chłopaków z Dorset. Mocarze.

3 stawy

740
Kometę nadleciała zabrała
słuchaczy w galaktyczną
podróż.
**OFF
FESTIVAL**

malizm i wirtuozeria w jednym. Niemożliwe? W przypadku OM i owszem. Jedna z niewielu grup, która klimat znany z doskonałych płyt potrafi oddać z nawiązką na koncertach. Najlepszy występ piątkowego wieczoru. Power trio? Raczej trójka obcych wylądowała swoim UFO w Dolinie Trzech Stawów i zostawiła



OM



FOALS

Szacowny Oksford na OFF Festiwalu reprezentowali Foals. Grupa wypłynęła na fali popularności wykonawców takich jak LCD Soundsystem i !!!.

Początkowo bliżej im było do Amerykanów z tego drugiego zespołu. Ostatnia płyta jest bardziej stonowana i bliska stylistyce indie popowej. Chill out, jaki zasewrowali licznie zgromadzonej przy głównej scenie publiczności od początku występu, nieco mnie znudził, ale później było dużo lepiej. Można ich lubić lub nie, ale trzeba przyznać, że na koncertach się sprawdzają i był to występ, który zgromadził największą publiczność w ciągu dwóch dni trwania OFF Festiwalu. Profesjonalne show na koniec drugiego dnia muzycznej podróży międzygatkowej.

Solidne 2 i ½ stawu

Wyczerpanie. Kryzys dnia drugiego. Siemianowice nocą. Jakiś zmęczony facet na schodach hotelu. Można tak spać, tylko trzeba się odpowiednio zmęczyć.

NIEDZIELA

Dzień święty i niehandlowy. A żyć i słuchać trzeba.

Ostatnia odłona Offa. Tour De Pologne.

BABU KRÓL I SMUTNE PIOSENKI

Smutne Piosenki, czyli zespół Babu Króla nie dotarł na występ. Grupa nie była poinformowana o Tour De Pologne, a konkretnie o blokadzie dróg z powodu przejazdu kolarzy. Tak się złożyło i mieliśmy inny niż zapowiadany repertuar koncertu. Było dużo interakcji z publicznością. Lider i gitarzysta ratowali sytuację. Reszta składu oglądała ludzi na jadących gdzieś rowerach.

Wyszło nieźle, bo teksty między innymi Edwarda Stachury bronią się same. W sumie rozczarowanie, ale było sporo pozytywnej energii.

1 i ¼ stawu. Plus za poczucie humoru

ZESPÓŁ PIEŚNI I TAŃCA ŚLĄSK

Jak to zwykle na OFF Festiwalu bywa – dobrze przyjęty występ. Uroda tancerek i tancerzy, choreografia, stroje. Wszystko zagrało. Po prostu „Sza! dziewczeczka do laseczka”.

Dwa stawu. A w nich wszystkie rybki już śpią

BAMBA PANA & MAKAVELI

Drugi koncert duetu na tegorocznym Offie. Tym razem na Scenie Leśnej. Zabawa. Trochę rytmicznych łamańców. Dużo tradycji muzyki afrykańskiej, ale nie każdemu odpowiada taki rodzaj podejścia do korzeni. Ja wolę bardziej naturalne, nieprzetworzone elektroniczne klimaty.

Solidne dwa występy.

1 dwa stawu. Z wodą

STEREOLAB

Tego dnia chyba najbardziej na nich czekałem i się nie zawiodłem. Opinie słyszałem różne. Dla mnie jeden z najlepszych koncertów OFF Festiwalu 2019.

Piękne melodie, urokliwy głos wokalistki, więcej niż sprawna gra muzyków. Oprócz skojarzeń z klasyczną francuską chanson na koncercie było wiele zabawy rytmem, konwencjami, a nawet postpunkowej energii. Zanurzyłem się w uroczym świecie dźwięków Stereolab i nawet nie zauważyłem, kiedy minęła godzina. Zaledwie godzina.

3 i ½ stawu. Zarybionego

DAUGHTERS

Następcy Dillinger Escape Plan? Raczej nie. Nie po ostatniej płycie „You Won't Get What You Want”. Na pewno

bliżej im obecnie do Birthday Party niż do posthardcorowych brzmień. Muzyka Daughters zmieniła się na lepsze z upływem czasu. A koncert był rewelacyjny. Według niektórych offowiczów najlepszy na OFF Festiwalu 2019. Potężne brzmienie, wokalista z charyzmą młodego Nicka Cave'a i szaleństwem Alana Vega z Suicide. Muzycy grający jak w transie. Huśtawki nastrojów. Potężne gitarowe riffy i karkołomne rytmy. Dużo tekstów o postpolityce, postprawdzie, wszechobecnym kłamstwach, czyli o współczesnym świecie. Czegoż chcieć więcej? Chyba tylko tego by jakimś cudem zagostili na przyszłorocznym Offie i zagrali na dużej scenie. Namiot Sceny Eksperymentalnej nie pomieścił wszystkich chętnych i to jedyny minus tego występu. Plus ujemny dla organizatorów. Minus dodatni za zaproszenie tej wspaniałej grupy!

3x3 stawu z wodą i rybami

Dla mnie OFF mógłby się już zakończyć, ale został jeszcze Suede.

SUEDE

Brett Anderson już nie ma anielskiego głosu. To pierwsza refleksja.

Dobre zakończenie OFF Festiwalu 2019. Przenikliwie zimno nie zostało przetamane przez eksplozję energii płynącą ze sceny. Cóż. Taki był i jest britpop. New Romantic na rockowo. I tyle. A może aż tyle.

Dwa stawu. Jeden za melodie. Te z dawnych lat

PODSUMOWANIE

Bardzo udany OFF. Prosimy o więcej! I to już naprawdę wszystko. ▀



Paweł Chmielewski

Po co nam Srebrny Glob?

Mógłbym powtórzyć za Johnem Nashem (przynajmniej tym z ekranowej wersji Rona Howarda) – jestem zdziwiony, zaskoczony, przerażony – w tegorocznym „oscarowym wyścigu” zabrakło miejsca dla „Pierwszego człowieka”, bardzo rzetelnej i dobrze nakręconej przez Damiana Chazella biografii Neila Armstronga.

ASTRONAUTA POLEGŁ na ważną, ale spóźnioną o trzydzieści lat i zbudowaną z wielu oczywistości „Green Book”, schematyczną i średniutką „Czarną Panterą” ze stajni Marvela, wreszcie z utudzoną, stojącą tylko na fenomenalnej, dwudziestominutowej scenie koncertu „Bohemian Rhapsody”. To pokazuje, że mimo obecności na ekranie jednego z ulubieńców Hollywood – Ryana Goslinga – historia lotów załogowych na Księżyc, nawet w pięćdziesiątą rocznicę pierwszego lądowania, nadal jest kwestią niejednoznaczną i w pewien sposób wypartą ze społecznej pamięci. Fabularyzowany reportaż Andrew Smitha „Księżycowy pył. W poszukiwaniu ludzi, którzy spadli na Ziemię” to wszystkie niejednoznaczności, przemilczenia, zachwyty i wątpliwości pokazuje w sposób fascynujący. I pozostawia – co nie jest rzeczą tak jednoznaczną w reportażu – czytelnikowi (w zależności od temperamentu, zainteresowań i nastroju) sposób lektury. Można odczytać „Księżycowy pył” przez pryzmat faktografii. Można jako antropologiczno-socjologiczny fenomen zmieniający optykę dziejów i najważniejsze w II poł. XX w. wydarzenie w historii cywilizacji – nie wietnamska wojna, upadek ZSRR, kryzys kubański, miliard zarobiony przez jeden film, biały album Beatlesów – wydarzenia istotne, lecz błędne przy jednym małym kroku Armstronga. Można odszukać w książce Smitha – bardzo jasno ukazany – proces technologiczny i zagadnienia naukowe związane z astronautyką. Można pokusić się o odczytanie „Księżycowego pyłu” jako reportażu psychologicznego. Wreszcie – kulturowego zjawiska, które do dziś rozpala fantazję twórców i szaleńców. Te dwie ostatnie odstony wydają się być najbardziej interesujące.

Od samego początku wokół programu Apollo narosło wiele teorii spiskowych. Przede wszystkim – „nigdy astronautów na Księżycu nie było”. Do dziś na kanałach Discovery, Viasat można obejrzeć nagranie, na którym widzimy czołowego przedstawiciela ruchu „negacjonistów” Sibrela podsuwającego Buzzowi Aldrinowi Biblię i nokautowanemu przez drugiego (tuż po Armstrongu) człowieka, który

postawił nogę na Srebrnym Globie. Andrew Smith przywołuje również zabawną rozmowę z wokalistą Led Zeppelin – Robertem Plantem. Dlaczego na jednej z okładek członkowie zespołu są ubrani w kosmiczne skafandry?

Plant z rozbijającą szczerością mówi, że to po prostu „fajny obrazek”, ale w lądowanie nie do końca wierzy. Dawid Bowie traktuje swoje wcielenie Ziggy’ego Stardusta jako figurę komediową. Wszystko przebijają jednak teorie związane z postacią Stanleya Kubricka. To on miał – według zwolenników spisku – wyreżyserować lądowanie na Księżycu. *Znowu ten Kubrick! Ciągłe powraca, jak postać z bajek Dr. Seussa. Był już von Braun i doktor Strangelove oraz „2001: Odyseja kosmiczna”, Nixon i wahadłowiec (a także pilot modułu dowodzenia Apollo 16 Ken Mattingly, samotnie dryfujący w kosmosie, słuchający walców Straussa z filmu, który widział sześciokrotnie). Było cholerne „Tako rzecze Zaratustra” puszczane absolutnie wszędzie, był Michael Collins, który wyjawiał, że na swojego instruktora na symulatorze mówił HAL, i była opowieść Eda Mitchella o jednej ze swoich córeczek, której w Białym Domu przedstawiono Henry’ego Kissingera i Kirka Douglasa, a ona wypaliła do aktora: „Nie podobał mi się pan w »Spartakusie«”, filmie wyreżyserowanym przez Kubricka. Był rozczarowany wótczega „Mechanicznej pomarańczy” (bijący go członkowie gangu są przebrani w stroje tudząco przypominające skafandry, mające symbolizować rozzczarowanie i fałsz kosmicznej misji). A teraz są jeszcze „Oczy szeroko zamknięte”, w których*

zdaniami Sibrela zawarta jest ironiczna wiadomość pożegnalna od mistrza i rzekomego reżysera księżycowej iluzji. Nad wszystkim unosi się zimnowojenny duch i duch Wernera von Brauna, a Smith usiłuje dociec, jak twórca rakiety Saturn 5 był postrzegany przez pryzmat jego nazistowskiej i niewątpliwie zbrodniczej przeszłości.

Po co nam był ten Księżyc? To pytanie unosi się nad całym reportażem. I tu dochodzimy do odczytania psychologicznego, na poziomie jednostkowym, czysto ludzkim. Dziennikarz „Melody Maker”, „The Observer”, „The Guardian” musiał sobie odpowiedzieć na pytanie – po co powstaje ta książka? Pierwotny zamysł wydawał się prosty – z dwunastu astronautów, którzy postawili stopę na Księżycu żyło już tylko dziewięciu. Trzeba zebrać ich świadectwa. Pokazać co się stało po powrocie na Ziemię. Gdyby to było takie proste!

Są jeszcze żony bohaterów – idealnie skrojone pod medialny przekaz. Są pominięci w drodze selekcji. Są wreszcie ci, którzy w trzyosobowych załogach krążyli po orbicie i nigdy nie dotknęli księżycowego pyłu. A ta dziewiątka, patrząca na Ziemię z powierzchni satelity? Charlie Duke rozsyłał się, terrorizował rodzinę i założył ostatecznie misję w Teksasie. Neil Armstrong został nauczycielem i wycofał się z życia publicznego. Jego ucieczka jest największą zagadką, którą usiłuje rozwikłać autor. Buzz Aldrin przez lata walczył z alkoholizmem i rozpoczął pracę nad dziwacznymi projektami kosmicznymi. Alan Bean zajął się malarstwem, Edgar Mitchell rozpoczął analizę inteligencji wszechświata, Jim Irvin porzucił NASA na rzecz kościoła, przebojowy Alan Shepard, medialny celebryta, nagle złagodniał. John Young po katastrofie Challengera stał się największym krytykiem agencji kosmicznej. Gene Cernan popadł w melancholię, Jack Schmitt poszedł do senatu, a liczba rozwodów po powrocie na Ziemię była, *nommen omen*, astronomiczna.

„Księżycowy pył” czyta się również nierzadym thriller szpiegowski. Poznajemy domniemane intencje kolejnych prezydentów – wizjonerstwo kosmiczne uznawanego za safandutę (przynajmniej w tej kwestii) Eisenhowera, rozhisteryzowanego JFK, wyrachowanego Nixona, który ma przygotowaną mowę w przypadku śmierci załogi Apollo 11. Troszeczkę – na ile jest to możliwe – poznajemy strzępy historii uczestników tego wyścigu po stronie radzieckiej. Czytamy wreszcie o intrygach w zamkniętym kręgu samych astronautów, którzy zaciekle walczyli o prawo uczestnictwa w misjach.

Dlaczego więc poleciliśmy (jako ludzkość) na Księżyc? Odpowiedź wydaje mi się prosta – dlatego, że jest.

Dlaczego więc poleciliśmy na Księżyc? Dlatego, że jest.

Księżycowy pył

W poszukiwaniu ludzi, którzy spadli na Ziemię

ANDREW SMITH

Tyśk dwunastu ludzi nagle znalazło smutną odpowiedź na pytanie, którego wcześniej nie było: czy naprawdę byli na Księżycu? Opowieść o tym, jak i dlaczego ich wyprawa na Księżyc stała się największym sukcesem astronautyki, a także o tym, jak i dlaczego ich powrót na Ziemię stał się największym porażką. W tym reportażu autor odkrywa, jak i dlaczego ich powrót na Ziemię stał się największym sukcesem astronautyki, a także o tym, jak i dlaczego ich powrót na Ziemię stał się największym porażką.

Andrew Smith
Księżycowy pył.
W poszukiwaniu ludzi,
którzy spadli na Ziemię

420 s.; 23 cm
Wrocław: Wydawnictwo
Czarne, 2019
629.78:929-051(73)“19”/20*(047)



Rys. Robert Kolasa



Rys. Jerzy Ozga

WYSTAWCY KIELECKICH PREZENTACJI KOMIKSOWYCH



Timof i cisi współnicy
<https://timof.pl>



Scream Comics
<http://scream.com.pl>



„Komiks I my”
<https://www.facebook.com/Komiks-i-my-598389923650513>



Panna N - komiksy
<https://www.facebook.com/pannanARTS>



Fabryka Komiksów dla Amelki
<https://www.facebook.com/komiksowafabryka>



Rzeszowska Akademia Komiksu
<https://www.facebook.com/RzeszowskaAkademiaKomiksu>



Wydawnictwo Kameleon
<http://www.wydawnictwokameleon.pl/>



Ultimate Comics
<http://www.ultimatecomics.pl>



Wydawnictwo Mandioca
www.pn.gov.pl



Wydawnictwo Instytutu Pamięci Narodowej
<https://mandioca.pl>



Kielecki Magazyn Kulturalny „Projektor”
www.projektorkielce.pl



Wydawnictwo Stowarzyszenie Twórcze „Zenit”
<http://www.zenit.org.pl/>

**KIELECKIE PREZENTACJE
KOMIKSOWE 06-07 WRZEŚNIA 2019**

Współfinansowanie:



Stowarzyszenie Twórcze „Zenit”

oraz osoby prywatne



rabat na fali



letnie
wyprzedaże

Galeria Echo, www.galeriaecho.pl